

Królewiaczy

przez

Artura Gruszeckiego.

25)

Radca, wchodząc na ulicę Wolską, spotkał się oko w oko z Maryewskim, o którym właśnie rozmyślał.

Po sakramentalnem przywitaniu:

— Sługa pana radcy, — chciał Maryewski wyminąć spotkanie.

Radcy przemknęło w myśli, że jednak Irena powoła się na jego powagę w sprawie odprowadzania, co naraziłoby go z wszelką pewnością na wyrzuty Paulisi, bo przecież Maryewski napewno rozpowie o tem w sądzie i naturalnie urośnie plotka i dotrze do Paulisi i Klimci.

— Panie adjunkcie, — zaczął uprzejmie, — mam kilka słów sekretnych do pana.

— Służę panu radcy, — uchylił kapelusza.

— Może przejdziemy się trochę, to powiem.

— Bardzo chętnie, panie radco.

— Hm... uważa pan... jakby to powiedzieć... sprawa jest drażliwa, ale my, mężczyźni, możemy być ze sobą szczerzy. Czy nie tak, panie adjunkcie?

— Naturalnie, panie radco. To mi tylko pochwlebia, — szli obok siebie.

— Otóż rzecz w tem, — mówił radca, wpatrując się w trotuar, — że młoda panna, to jak motyl... źle mówię... jak barwa motyla na skrzydłach. Dotknie się ktoś... i fiu! barwy niema. — Pan mnie rozumie?

— No, tak, zapewne... ale panny nie są znów tak delikatne, — zaśmiał się.

— O, delikatne! — wierz mi, panie adjunkcie, bardzo delikatne. Zatem do rzeczy. Spotkałem dziś zupełnie przypadkowym sposobem, — podkreślił radca ostatni frazes, — pana adjunkta z moją siostrzenicą. Naturalnie, znając charakter i zasady pana adjunkta, jestem pewny, że w tem niema nic złego, przeciwnie, to uprzejmość towarzyska. Ale... ale... ta barwa, o której wspominałem, mąci się, ściiera... co? pan mnie rozumie, panie adjunkcie? — patrzył mu w oczy.

— Jednak ja, — uśmiechnął się Maryewski, — odprowadzałem i odprowadzam tyle znanych mi panien, a nawet córeczce pana radcy miałem zaszczyt kilkakrotnie towarzyszyć samej do domu.

— No tak, tak, ale to są panny znane w Krakowie, tak dobrze, jak i pan adjunkt, a w tym wypadku, jako jej wuj, wolałbym, ażeby o niej nie mówiono z uśmiechem znaczącym. Pan mnie rozumie?

— Tak jest, panie radco, ale możemy znaleźć wyjście. Poproszę panią Czajkowską o pozwolenie i rzecz załatwiona, naturalnie, o ile się pan radca na to zgodzi.

— Panie adjunkcie, prawa matki są święte i ja się w to nie mieszam, a jeśli wspominałem panu o tem, to tylko jak mężczyzna do mężczyzny, i jako starszy zwróciłem uwagę młodszemu. Niema potrzeby robić z tego takiej historii... i właściwie, to w niczem nie ubliża Irene. Znana mi jest opinia pana... i wie pan co? przyznam się, że tylko dla przyjemności rozmawiania z panem poruszyłem tę kwestyę, a niech pan postąpi jak sam uważa, — wycofywał się radca z obawy, że popełnił jakąś niewłaściwość, za którą może odpowiadać.

— Rozumiem, panie radco, jednak ja wyciągnę konsekwencję z łaskawych uwag pana radcy.

— Ale ja niczego nie żądam, — pospieszył radca, — i mam nadzieję, że rozmowa ta zostanie tajemnicą pomiędzy mną a panem. Bardzo o to proszę, — podał mu rękę.

— Zastosuję się do żądania, a swoją drogą z łaskawych uwag pana radcy będę korzystał.

— Tylko o mnie niech pan adjunkt nie wspomina, bardzo proszę, — pożegnał go, a Maryewski skręcił na Zgodę.

— Dyabli mi nadali mieszać się w te sprawy, co mnie to właściwie obchodzi, — rozmyślał radca chmurny. — I oboje tacy uparci. Ta powie Maryewskiemu, ten powie matce, a wszystko na mnie się skrupi. A kto temu winien? Nie ja przecież, tylko Irena. Gdyby nie ona, czy wysiadywałbym przed uniwersytetem? czy widziałbym Maryewskiego? Stara to prawda, że gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle, — westchnął radca.

Zaczął głęboko się namyślać, co zrobić z tym fantem wobec Paulisi. Czy ukryć, czy też powiedzieć? Wciągnął w rachubę tylko dwie możliwości: albo się ona dowie, albo nie dowie. Irena jest skryta, sprzyja mu, prawdopodobnie nic nie powie. Marye-

wski, człowiek uczciwy, honorowy; radca, jego przełożony, prosił go o tajemnicę, więc i on może nie powie. Ale po chwili opadły go wątpliwości. Irena, jak każda kobieta, chwali się, że tak się o nią dba i nią się interesuje, a więc prawdopodobnie powie. Maryewskiego widziano napewno idącego z nim razem i jutro będą go pytali, o czem rozmawiał, a on nie omieszką się pochwalić, że ja go uważam za donżuana, — uśmiechnął się ironicznie. — Naturalnie usłudzy koledzy ubiorą tę wiadomość w jaskrawe barwy, powiedzą innym, na piwie, w domu, żonom, i z wszelką pewnością doniesie się do Paulisi.

W tej chwili u wylotu ulicy Wolskiej spotkał się z żoną i córką.

— Jasiu, a ty skąd wracasz? — zawołała zdziwiona radczyni.

— Ja?... ja?... — bąkał niezdecydowany.

— Zapewne od cioci, — zaśmiała się Klimcia.

— Daję słowo, że nie byłem u Sabinki, — zapewnił radca uroczyście. — Ot tak, poszedłem na spacer...

— Sam? — spytała podejrzliwie żona.

— Naturalnie, że sam... tylko w drodze spotkałem...

— Odprowadź nas do domu, i tak nigdy nas razem nie widzą, bo ty wolisz sam chodzić. Kogo spotkałeś?

— To, wiesz, było tak. Idę sobie na spacer...

— Dokąd?

— Tak, trochę, Plantami... aż tu widzę Irenkę z Maryewskim...

— Co? — zawołały obie niewiasty, a radczyni aż przystanęła, mówiąc:

— Co ja słyszę? — ona, sama z nim?

— Otóż i ja tak samo się zdziwiłem, jak ty, no i mówiąc między nami, zgorszyłem się.

— A wiesz, doskonały jesteś z tem swoim zgorszeniem, — zaśmiała się nerwowo, — przecież to Królewianka, a one depcą przyjęte formy i zwyczaje. Jednak mniejsza z tem. Co zrobiłeś?

— Naturalnie, ojczulek nie przeszkadzał im w słodkiem *tête à tête*, — zaśmiała się złośliwie Klimcia.

— Moja Klimciu, — mówił radca poważnie, — zapominasz, że Irena jest córką mej siostry.

— Wiemy, wiemy, — rzekła radczyni lekceważąco, — mów, co zrobiłeś?

— No... przystąpiłem do nich, a dowiedziawszy się, że Irena wraca do domu, a on ją odprowadza, ja, dla uratowania sytuacji, poszedłem z nimi na Zabłą.

— No, nie bardzo Irena była wdzięczna ojczulkowi za tę troskliwość.

— I ja tak myślę, — dorzuciła radczyni, — postąpiłeś sobie, jak ten Donkiszot w komedyi, nie pamiętam w której. Ratowałeś to, co już dawno stracono. I masz swoje lata, włosy siwe, jesteś radcą, a w głowie zielono... no, stało się. O czem rozmawialiście idąc?

— A... tak... ni to, ni owo.

— Ojczulku, a co mówił Maryewski?

— On? pożegnał Irenę, której zrobiłem stosowną uwagę i odprowadziłem do domu.

— I Maryewski na to pozwolił? — spytała radczyni z niedowierzaniem. — Nie spotkał ciebie? bo widzieliśmy go przed chwilą na Podwalu, więc chyba razem wracaliście Wolską?

— A tak, tak, spotkałem się z nim.

— A on co mówił? — indagowała radczyni — chyba nie o sprawach urzędowych, — zaśmiała się z goryczą, — pewno robił ci wymówki.

— Cóż znowu! — oburzył się radca. — Taki adjunkt mnie?

— Mameczko, Maryewski się usprawiedliwiał, — dorzuciła Klimcia, — i to jest w porządku wobec wuja Ireny.

Radcy wydała się ta myśl bardzo szczęśliwą. Zaczął tonem pełnym godności:

— Tak jest, on zrozumiał niewłaściwość spotkania panny dobrze wychowanej za plecami matki. Powiedział mi, że to tylko traf zrządził...

— Umyslnie sprowadzony, — przerwała mu radczyni. — Ale mów dalej.

Radca jednak nie wiedział na razie, co ma dalej mówić i znów dopomogła mu Klimcia:

— Zapewne mówił ojczulkowi, że usprawiedliwi się przed ciocią z tego kroku.

— Właśnie tak było, — podchwycił radca, — on zrozumiał, że wobec mnie jako wuja, popełnił conajmniej lekkomyślność i obiecał rozmówić się w tej sprawie z Sabinką.

Radczyni pobladła z gniewu, zmierzyla męża piorunującym wzrokiem i przez ściśnięte zęby syknęła:

— Stary głupiec!

Możeby sam rzeczownik nie dotknął tak głęboko radcy, gdyby nie przymiotnik. Wzburzony przystanął, mówiąc z wyrzutem:

— Paulisiu, miarkuj się!

— Tylko bez scen, moi państwo! — powiedziała zimnym tonem Klimcia, — patrz na nas.

— Ależ, bo to oburzające, — mówiła zduszonym głosem radczyni, — ażeby rodzony ojciec konkurenta swej córki rzucał w objęcia kokietki warszawskiej?!

— Paulisiu, co ci się śni? Ja ani w myśli nie miałem, ani nic takiego nie zrobiłem, ażeby w czemkolwiek zniechęcić Maryewskiego do nas, a podsuwać mu Irenę w jakikolwiek sposób.

— Pan Bóg mnie pokarał takim mężem. Dobry człowiek, ale niczem stołowe nogi. Masz tępą, drewnianą głowę! I nie dość, że głupstwa robi, ale jeszcze dumny jest z tego!

W radcy obudziła się obrażona godność męża i ojca, i rzekł też z niezwykłą powagą:

— Twoje przymówki nie mogą mnie obrazić, a nie chcąc dalej słuchać tego rodzaju wymysłów, żegnam i odchodzę, — uchylił kapelusza.

— Nie dodawaj głupoty do głupoty, — zawołała szorstko, — chodź z nami, trzeba się naradzić, bo przez ciebie grozi nam „szkandal“.

Wobec tego oświadczenia, radca towarzyszył żonie cichy i potulny, rozmyślając z goryczą o kaprysach żony, która opierając się na swych przypuszczeniach, robi jemu awantury.

W milczeniu doszli do mieszkania, a radca, usiadłszy w jadalnym pokoju, czekał cierpliwie, póki się panie nie przebiorą.

Pierwsza weszła radczyni i zapaliwszy lampę, usiadła za stołem, patrząc badawczo na męża i po chwili zaczęła dość łagodnie:

— Proszę cię, powiedz mi szczerze, co mówiłeś z Maryewskim?

— Już ci mówiłem, nie będę powtarzał, — odparł chłodno.

— No, Jasiu, rozchmurz się, bądź dobry, tu idzie o przyszłość dziecka naszego. Powiedziałeś same ogólniki, ale powtórz dosłownie.

Radca wyjął cygaro, obcinał starannie, wydmuchiwał, i patrząc, to na żonę, to na Klimcię, która przyszła i zasiadła przy matce, mówił zwolna:

— Maryewski bez żadnego pytania, badania z mej strony, zaczął od tego, że spotkał się przypadkowo z Ireną, a gdy zrobiłem minę niezadowoloną, powiedział, że spyta się Sabinki, czy wolno mu odprowadzać Irenę, gdy ją spotka na ulicy.

— Cóż ty na to? — spytała radczyni z powstrzymywanym gniewem.

— Zaraz, opuściłem jeden szczegół, — puścił kłęb dymu. — Pytał mnie, czy, jako wuj, nie sprzeciwiam się temu odprowadzaniu.

— Więc to formalne oświadczyń! — wybuchnęła radczyni.

— Niechże mameczka pozwoli wypowiedzieć się ojczulkowi, — upomniała Klimcia matkę z grymasem niechętnym.

— Masz zupełną rację, — tryumfował ojciec, — to zasada prawna: wpierw wysłuchać, dopiero sądzić.

— Niech i tak będzie, — westchnęła radczyni, — mów, tylko prędzej.

— Otóż, odpowiedziałem mu, że prawa matki są święte i ja nie mieszam się do tego wcale.

— No, pierwsze słowo mądre. Czy na tem skończyliście rozmowę, nic więcej?

— Cóż miało być więcej? Wogóle byłem niezadowolony, że wpadłem jak Piłat w Credo, w tę sprawę, bo właściwie mało mnie to obchodzi, czy on Irenkę odprowadza, czy nie odprowadza.

— Więc zrozumiejsz nareszcie, ty mądra głowo, że twem wdaniem się w tę sprawę, poprostu zmusiłeś Maryewskiego do otwartego starania się o Irenę.

— Ja? ja? — podniósł zdziwione oczy.

— Ty sam! Ty, jako wuj, a więc nibyto opiekun, człowiek na stanowisku, radca, jego przełożony, który może mu zaszkodzić, obrażasz się, że on włóczy się z twoją siostrzenicą. Cóż mu pozostaje innego, jak tylko oświadczyć się o pannę? bo to człowiek honorowy i uczciwy.

— O, tak, on ma wielkie poczucie honoru, — uzupełniła Klimcia, — i sam mi mówił, że gdyby skompromitował pannę, ożeniłby się z nią natychmiast.

— A co? słyszysz? nawet nie wiedziałam o tem... Kiedy on to, Klimeczko, mówił do ciebie?

— Gdy go prześladowałam, że zbyt często bywa u Palickich i zdawało się, że kocha się w Mani.

— A tak, pamiętam, — i do męża: — przyznaj się, że nie obeszło się bez tego, ażebyś mu nie zrobił jakiejś uwagi? bo ty zawsze udajesz moralistę i skrupulata.

— Ale co znowu? chyba z miny mojej wyczytał, że nie pochwałam jego postępowania.

— No, dosyć. Wiemy już, — westchnęła radczyni. — Co ty Klimeczko myślisz o tem?